

Cigarettes & roses

Wyciągnął z kieszeni czarnych, spranych już jeansów paczkę papierosów. Blaise palił od lat. Zawsze te same — czerwone Marlboro. Jeden za drugim. Wdychał szary dym, nie martwiąc się ani trochę o swoje zdrowie. Palenie było Blaise'a.

Pierwszego papierosa złapał w biegu od kolegi — mieli wtedy może po czternaście lat. To było szybkie. Jakaś przerwa między lekcjami i szkolna toaleta. Kilka zaciągnięć, kaszel, a nawet łyzy. Unoszący się szary dym, drapiący w nozdrza zapach palonego skręta, pewnie skradzionego któremuś z rodziców. Później byli nauczyciele, uwagi, krzyk, dyrektor i dom, a w domu kilka ciosów — od ojca skierowanych do małego Blaise'a. I jego mamy, bo to ona przecież była winna. To ona źle wychowała dziecko i to ona powinna znosić upokorzenie i pogardliwe spojrzenia.

Pierwszego razu Blaise nie wspominał dobrze.

Żadnego pierwszego razu nie wspominał dobrze.

I to powinno powstrzymywać go przed zrobieniem czegoś kolejny raz. Kto powtarzałby coś, co przyniosło za sobą okropne konsekwencje i fale bólu?

Blaise. Tylko Blaise i zdecydowanie Blaise.

Otworzył pudełko. Pochwycił między palce ostatniego papierosa. Ostatniego.

Ostatni papieros w paczce przypominał Blaise'owi początek tortur. On musiał mieć papierosy, musiał palić, a jeśli nie palić, to wiedzieć, że na pewno ma kilka sztuk przy sobie.

To było uzależnienie. Straszne. Wręcz obrzydliwe. Nie wyobrażał sobie już tej marnej egzystencji bez używki między malinowymi wargami. Nie wyobrażał sobie poranka bez papierosa na balkonie. Nie wyobrażał sobie też jazdy samochodem bez pozbywania się żaru przez okno.

Blaise generalnie niewiele sobie wyobrażał.

Odpałił więc ostatniego papierosa, zaciągając się mocno. Dym wsiąkał w ściany jego mieszkania, w poduszki i koce, w jego ubrania. I w niego samego. Blaise cały przesiąknięty był trującym dymem. Trucizną.

Więc Blaise był trujący?

Trzymając papierosa w ustach, wcisnął na siebie szarą bluzę — równie spraną, zmechaconą, co jego jeansy. Już na pierwszy rzut oka widać było, że bluza należy właśnie do niego. Miała ślady. Po spadającym na materiał żarze z papierosa. Po przypadkowych i nieprzypadkowych podpaleniach ogniem z zapalniczki.

Włożył buty. Stare, czarne trampki. Nie rozstawał się z nimi. Nie chciał. Niosły za sobą kawał historii. Jego historii. Drogi, którą przeszedł. Tej jego drogi. Tylko jego.

Szybko zamknął drzwi mieszkania i zbiegł po schodach starej kamienicy. Lubił w niej mieszkać. Mimo że schody ciągle skrzypiały, tynk odpadał, a jego sąsiadkami były tylko oceniające starsze panie, którym musiał uprzejmie pomagać, by nie wyjść na gbura.

Blaise lubił spokój. A spokój zapewniało mu trzydzieści metrów kwadratowych w tej przedwojennej kamienicy.

Zapowiadało się na deszcz. Szedł szybko, musiał przejść kilka przecznic, aby znaleźć się poza osiedlem. Miejsce jego zamieszkania było zbyt ciche, dalekie i nudne, aby mógł znaleźć tam sklep. A tego teraz potrzebował. Samochodu nie wziął — pił wcześniej. Niewiele, ale jednak. Nie chciał niemiłego spotkania z władzami, a tym bardziej kwitka wzywającego do zapłaty.

Dotarł do małego sklepiku. Miejsce wyglądało jak wyciągnięte z filmu. Biała budka z daszkiem i ogromnym świecącym napisem. Spore okna, przez które można było zajrzeć do środka.

Filmowo. Dlatego Blaise spodziewał się tam też starej, opryskliwej kasjerki.

Blaise często myślał stereotypowo. Sam też był trochę chodzącym stereotypem. Znanym modelem złego chłopca. Z urodą modela, duszą diabła i spojrzeniem kuszącym niczym zakazany owoc.

Wchodząc do środka, mógł ocenić, gdzie znajdzie cel swojej wizyty. Sklep miał w sobie tyle regałów, że przejście między nimi — mając szerokie ramiona i metr osiemdziesiąt pięć — graniczyło z cudem.

A Blaise wydawał się cudem, więc mu się udało.

Papierosy były przy kasie, więc dotarł tam, nie dostrzegając jednak nikogo. Oparł się biodrem o ladę i czekał.

Bo Blaise był cierpliwy. A przynajmniej starał się być.

Mijały minuty. Nikt się nie pojawił, a Blaise słyszał tylko przytłumiony dźwięk głosu zza ściany.

Damskiego głosu.

Kaszlnął znacząco. Był cierpliwy, ale do czasu. Nadal opierał się nonszalancko o blat. Odwrócił wzrok, gdy usłyszał delikatne kroki i trzask drzwi.

A potem głos. Delikatny, melodyjny, słodki, cudowny.

— Przepraszam, przepraszam. Zagadałam się przez telefon i nie słyszałam nikogo, bo moja mama tak dużo mówiła. Opowiadała mi o...

Słuch Blaise'a przestał rejestrować dźwięki, gdy spojrzenie jego czarnych tęczęwek, świecących tylko w świetle księżyca, odnalazło drobną postać.

Kobietę. O lśniących, szatynowych włosach i uśmiechu, który zakończyłby niejedną wojnę. Miała niebieskie oczy. Tak niebieskie, jak letnie niebo lub naprawdę przejrzyste jezioro.

Niczym niezmacony spokój i czysta tafla błękitnych niebios.

Pierwsza myśl, która nasunęła się Blaise'owi, to oczy, jakie piękne oczy i włosy, i usta. Cała jest piękna.

Wydawała mu się w tym momencie uosobieniem delikatności, jakby ciepłego powiewu wiatru lub unoszącego się nad ziemią zapachu lawendy. Szatynka była delikatnością, słońcem (mimo że zbliżał się wieczór) i miłością.

— ... i mówiła, i mówiła, a ja naprawdę nie słyszałam tego dzwonka. Nie chciałabym...

— W porządku — przerwał wodospad jej słów. Uważał, że nic się przecież nie stało. Kilka dodatkowych minut w sklepie nie zbawiło jego życia.

— W porządku? — zapytała, uśmiechając się delikatnie. — Czyli nie jest pan zły?

— A mam o co być zły? — mruknął niższym głosem. — Tak, mam. Wcale nie jestem stary, więc błagam, nie mów do mnie na „pan”. Jestem Blaise. — Wystawił w kierunku dziewczyny swoją dużą, szorstką dłoń.

A szatynka była w siódmym niebie. Nie zawsze ktoś się jej przedstawiał. I nie zawsze był to ktoś taki jak Blaise.

Podobało jej się to, jak wygląda. Że ma na sobie zwyczajne trampki, stare spodnie i ogromną bluzę. Że jego włosy są w takim nieładzie, a twarz pokrywa delikatny zarost. Podobało jej się, że chciał powiedzieć coś o sobie. Już samo przedstawienie się uznała za naprawdę ogromny krok. Bo gdzieś w tym wszystkim brakowało jej kogoś takiego. Kogoś, kto stałby się bezpiecznym portem, słodkimi ciastkami i pięknymi kwiatami. Kogoś, kto umilałby dzień i zapewniał poczucie obecności.

Blaise jej się spodobał. A ona spodobała się Blaise'owi, choć niewiele jeszcze wiedział.

— Ach, tak — zaczęła, wyciągając swoją dłoń. — Jestem Via. I strasznie dużo gadam. Zwykle bez sensu, ale wtedy czuję się lepiej. Nie lubię milczeć.

Ich skóra zderzyła się ze sobą, usta Vii ucichły, a myśli Blaise'a wybuchły.

Odsunęła się szybko, stanęła za ladą, aby zachować choć pozory normalnych zakupów i poprawiła fartuszek.

Via uśmiechała się naprawdę często i widać to było już na pierwszy rzut oka. Tryskała energią i dobrym nastawieniem, zawsze kolorowa, więc przy spranej szarości życia Blaise'a wyglądała jak biel przy czerni.

— Co dla... Co dla ciebie, Blaise? — zapytała bardziej oficjalnym tonem, dalej będąc uśmiechnięta.

Uśmiechnął się. Zapamiętała jego słowa. Dobrze, lubił, gdy mógł czuć się wysłuchany. Rozejrzał się szybko, zatrzymując wzrok na doniczkach niedaleko okien.

— Poproszę papierosy i tego kwiatka. — Wskazał palcem na jedną z doniczek z jego ulubionymi kwiatami. — Najlepiej Marlboro — powiedział.

— Czerwone?

Skinął głową.

— Wiedziałam. Wyglądasz na takiego.

Via oceniła go od razu, gdy spojrzała w ciemne tęczówki. Jednak spodziewała się ograniczenia do słów tylko naprawdę potrzebnych, bez uprzejmości czy uśmiechu.

Zwyczajnie spodziewała się, że przyjdzie jej skonfrontować się z prawdziwym dupkiem.

— Na jakiego wyglądam, Via?

— Na takiego, który pali i wyrzuca niedopałki na świeży trawnik. Na takiego, którego uśmiech jest tylko grzecznością. I na takiego, który

nie potrafi mówić prawdy prosto w oczy – mruknęła ciszej, patrząc wprost w jego tęczęwki.

A Blaise poczuł się, jakby znał ją od lat. Albo nie. Jakby to ona znała od lat jego i jego myśli. Jakby wiedziała wszystko, znała każdy sekret. Jakby była jego częścią. Drugą literą jego JA.

I choć te słowa mogły kogoś urazić, to nie Blaise'a. On wiedział, że to prawda. Że właśnie tak jest, bo jego uśmiech już stracił prawdziwość, prawda omijała go szerokim łukiem, a niedopałki papierosów lądowały wszędzie (nawet na trawniku).

– Jesteś spostrzegawcza, Via. Intrygujesz.

– A ty masz całkiem dobry gust. Białe róże są naprawdę śliczne – rzuciła, podając mu ową białą różę i paczkę papierosów.

Zebrała z lady pieniądze i już chciała oddać resztę, gdy usłyszała tylko dzwonek od drzwi. Uniosła wzrok, zauważając, że Blaise'a już nie było.

– Do zobaczenia, Blaise – mruknęła pod nosem sama do siebie, aby usłyszały ją tylko ściany, a głuche echo mogło już potem powtarzać tylko Blaise, Blaise, Blaise...

*

Już po pierwszym spotkaniu Via zajęła swoje miejsce w myślach Blaise'a. Była tam, i chodziła, i odciągała go od zajęć. Dlatego do swojego życia – żył rutynowo, choć strasznie tego nie lubił – postanowił dodać nowy punkt.

Uznał bowiem miejsce pracy Vii za idealne do jego zakupów. Mógł kupić to, czego potrzebował. Zawsze „papierosy i ten kwiatek”. Dlatego postanowił odwiedzać to miejsce codziennie, zawsze o tej samej porze. Stosował się do rady Lisa z *Małego Księcia*, książki, którą przeczytał jeszcze jako dziecko.

Via zauważała Blaise'a. Widziała go zawsze tak dobrze i naprawdę chciała, żeby on też ją zauważył. Jej szatynowe, długie włosy i jej duszę tak czystą, przypominającą obłok na niebie.

Nie spodziewała się, że Blaise zawsze chwilę spoglądał na nią przez szybę, że zauważył jej bliznę na brwi i pieprzyk na dłoni. Och, Blaise zauważył ją całą.

Więc codziennie odwiedzał sklepik — już wiedział, że należał do ciotki Vii, a dziewczyna dorabiała tam przed studiami. Wiedział, że była młoda, że lubiła romanse i filmy akcji, a jej ulubionym kolorem był fioletowy.

Wiedział to wszystko, bo za każdym razem zadawali sobie kilka pytań — to był pomysł Blaise'a. Chciał ją poznać, poznać lepiej.

Poznawać, wiedzieć więcej, być przy niej i czuć. Blaise naprawdę tego chciał.

Dlatego odwiedzając sklep, kupując papierosy i kwiatka, prowadzili luźną rozmowę — kilka pytań, kilka nowych faktów i coraz większy uśmiech.

Kolejny wieczór taki sam jak wszystkie. Może trochę chłodniejszy — wiatr znad zatoki czuć było wszędzie. Powiew świeżości i chwila, aby odetchnąć pełną piersią.

Blaise (znowu w tej samej, za dużej bluzie) wybrał się do sklepu. Albo do Vii, która już na niego czekała. Minęło tyle czasu, tyle dni i rozmów, a ich relacja nadal stała w miejscu.

Dlatego Via zdecydowała się na coś, co sprawiało, że jej dłonie drżały za bardzo, a uśmiech? Uśmiech był trochę krzywy, przypominał raczej grymas.

Przeszedł przez próg, strzepując z ciemnych włosów krople deszczu. Ponownie przecisnęła się przez rzędy regałów.

Blaise, gdy kilka dni z rzędu zrzucił z półek makarony i mąkę, postanowił znaleźć sposób na przechodzenie między regałami.

Podszedł do lady, jednak Vii wcale nie było tam, gdzie była zawsze. Stała bowiem przy oknie, starając się zawiesić tam jakąś tabliczkę.

Blaise ledwo stłumił śmiech.

Zastanawiał się, dlaczego się za to zabrała. Była zbyt niska, żeby dosięgnąć choć połowy szyby, więc wieszanie tabliczki na samej górze było nierealne.

Podszedł po cichu — Via już wiedziała o jego obecności (dzwonek przy drzwiach), oparł swoją głowę o czubek jej, poczuł wtedy zapach... lawendy?

Wtedy już wiedział, że Via zawsze pachniała lawendą.

Zabrał z jej rąk tabliczkę, która zaraz znalazła się na swoim miejscu. Wtedy spojrzął w szybę.

Widać było w niej ich odbicie. Bez koloru, szczęściem świeciły się tylko oczy Vii.

— Wiesz, że byś sobie nie poradziła? — zapytał, nadal patrząc w szybę. — Gdzie masz drabinę albo cokolwiek, co ma więcej niż metr sześćdziesiąt?

— Poradziłabym sobie, gdyby drabina rzeczywiście tu była! Wczoraj ciotka poprosiła mnie o wywieszenie tej reklamy, zapewniała, że drabina jest z tyłu. A gdy weszłam, żeby ją zabrać, to jej nie było!

— Zgubiłaś drabinę, Via? — zapytał, śmiejąc się z rumieńców, które wykwitły na jej policzkach.

— Nie zgubiłam! — zaprzeczyła. — Ja nawet jej nie widziałam, więc nie mogłam jej zgubić! To ciocia coś przekreśliła! Gdybym wiedziała, tobym się sama za to nie zabierała. Poza tym ja już nie gubię rzeczy! Pilnuję wszystkiego, od kiedy...

Via mówiła bardzo dużo. Często przekazywała niepotrzebne informacje.

Blaise zwykle wyłączał się w połowie, aby obserwować jej twarz i kosmyk włosów, który zawsze zakładała za ucho.

Uważała, że tak wygląda lepiej.

Via nigdy nie lubiła swoich szatynowych włosów. Nie układały się tak, jakby chciała i nie były tak lśniące, jakby jej się podobało.

Więc w jej oczach były tylko włosami, które często związywała, a w oczach Blaise'a były czymś, co zdecydowanie przyciągało uwagę.

—... i strasznie się wtedy przestraszyłam, bo była burza, a ja strasznie się jej bo... Cholera! — pisnęła, przyklejając się do torsu Blaise'a. Zaciśnęła drobne dłonie na materiale jego bluzy, gdy tuż za oknem niebo namalowało siebie jasnym piorunem.

Via bała się burzy.

Więc Blaise objął jej ciało silnymi ramionami, jednocześnie opierając brodę o jej głowę.

— Via... To tylko piorun. Spokojnie — mruknął, dłonią gładząc te szatynowe włosy. — Tutaj nic się nie stanie. Nic się nie stanie, gdy jesteś przed czymś schowana. I gdy to coś jest całkiem poza twoim zasięgiem.

*

Obiecała sobie, że tym razem da radę.

Gdy w burzową noc strach przejął nad nią kontrolę, nie była w stanie myśleć o czymkolwiek innym niż oplecione wokół jej ciała, silne ramiona mężczyzny, który starał się, aby jej oddech nie przyspieszał.

I gdy wtedy z nią został, poczuła to jeszcze bardziej. To, że jest dobrym człowiekiem. To, że brakuje jej bliskości i to, że chce go więcej.

Dlatego po kilku kolejnych dniach, kolejnych spotkaniach w sklepie, kilku wypalonych papierosach — tylko przez Blaise'a, bo Via nie paliła — oraz nowych odpowiedziach na wymyślone pytania, postanowiła ponowić próbę zepchnięcia relacji sklepowo-pytaniowej na nowy tor.

Tor, którym naprawdę Via chciała, aby ta relacja się poruszała. Wydawało jej się, że naprawdę by się dogadali.

Blaise i ona. Ona i Blaise.

Już przed godziną, która w sklepie zdecydowanie należała do Blaise'a, przyszykowała jego zestaw. Przychodził tu przecież tylko po „papierosy i tego kwiatka”.

Zawsze mówił „kwiatek”, nigdy nie kwiat.

Zawsze kupował Marlboro, tylko czerwone.

I zawsze wymyślał pytania, aby poznać ją trochę lepiej.

Czas, choć mijał nieubłaganie, Vii dłużył się z każdą minutą coraz bardziej i bardziej.

Ostatni raz spojrzała na paczkę Marlboro, która miała być przepustką do czegoś nowego, gdy dzwonek przy drzwiach poruszył się, wydając z siebie dźwięk. Dźwięk, który od kilku tygodni sprawiał, że jej uśmiech trochę się powiększał, a motyle w brzuchu zrywały się do lotu.

Blaise wszedł powoli, myślami będąc jednak naprawdę daleko.

— Cześć! — rzuciła Via, wstając zza lady. — Co dla ciebie, Blaise?

— Myślę, że wcale nie musisz zadawać tego pytania. — Przekrzywił głowę, spoglądając w lewo i unosząc brwi w geście zaskoczenia. — Chyba doskonale wiedziałaś, że przyjdę po papierosy i kwiatka.

Wtedy zrozumiała, a jej policzki pokryły się rumieńcem, który naprawdę chciała ukryć, zasłaniając twarz dłonią lub przykryc zasłoną szatynowych włosów.

Blaise uznał to wtedy za... urocze? Tak, zdecydowanie urocze.

Uważał, że Via cała taka była. Nawet gdy wypluwała z siebie słowa niczym karabin, a głowa Blaise'a pękała już po kilku zdaniach. Nawet gdy szukała ukrycia w jego ramionach, bo piorun rozświetlił niebo. I nawet wtedy, gdy próbowała namówić go na wspólne porządki w sklepie — ostatecznie się zgodził.

— Spodziewałam się, że możesz przyjść, więc... No Blaise! Następnym razem cię nie obsłużę — powiedziała, udając obrażoną, gdy brunet śmiał się pod nosem.

— Na pewno. Więc, Via, poproszę papierosy i tego kwiatka, a przy okazji chciałbym się dowiedzieć, jaki mit z mitologii greckiej jest twoim ulubionym?

Blaise wymyślał pytania, które dotyczyły naprawdę wszystkiego.

Więc gdy już kiedyś zapytał: „Via, która mitologia jest ci najbliższa?” — i dowiedział się, że szatynka lubi tę grecką — zdecydował, że następne pytanie będzie dotyczyło właśnie tego.

— Więc proszę, Blaise. — Podała mu przygotowany zestaw. — Ulubiony mit? Zdecydowanie ten o Persefonie, chociaż Dedal i Ikar są mi wyjątkowo bliscy.

— Chodź, chcę usłyszeć, dlaczego akurat te.

Złapał dłoń Vii, aby zaraz wyjść na dwór. Blaise chciał zapalić i posłuchać. Jej myśli go intrygowały, wydawała się naprawdę inteligenta, dlatego chciał jak najczęściej poznawać jej punkt widzenia.

Odpalił papierosa — miał zapalniczkę od ojca, oparł się o ścianę i zaczął słuchać.

— Dedal i Ikar. Zawsze opowiadał mi go tata — westchnęła cicho. — Tak starał się pokazać mi, że jego zdanie też jest całkiem ważne, a rozwiązanie czegoś jego sposobem może mieć lepsze skutki. Wydaje mi się, że chciał tak nauczyć mnie posłuszeństwa. I chyba mu się udało.

— A Persefona?

— Moje serce skradła Demeter. To, jak starała się odzyskać córkę, wiele razy spowodowało, że trochę inaczej patrzyłam na własną mamę. Wydaje mi się, że dopiero gdy usłyszałam historię Demeter, zrozumiałam, jak silna jest miłość matki do dziecka. Ale historia związana bliżej z Hadesem też mi się podobała, ale nie byłam za tym porwaniem. W ogóle za żadnym porwaniem.

— To całkiem ciekawe, więc obiecuję, że jeszcze do tego wrócimy, ale muszę już iść. Wybacz, Via.

— To nic. Do zobaczenia, Blaise.

Szatynka wróciła do sklepiku, a Blaise zauważył w końcu ciąg liczb zapisanych na paczce jego nowych papierosów.

Jej numer, litera „V” i kilka słów zapisanych pochyłym pismem: „Choć raz spotkajmy się poza tą plastikową budką.

*

Spacery, spotkania, randki, zwiedzane razem miejsca okazały się strzałem w dziesiątkę. Bo każde spotkanie przynosiło coraz więcej uśmiechu, żartów i czasu spędzonego razem.

Miesiące mijały, czas uciekał, a Via i Blaise już chodzili na randki. Już albo dopiero. Jednak chodzili. I cieszyli się jak dzieci.

Znali się dobrze. Znali się już naprawdę dobrze, bo potrafili rozmawiać. Rozmawiać długo i o wszystkim. Poznawać siebie i swoje światy. Uczyć się na błędach — było ich kilka, Via była wybuchowa. Zbudować relację opierającą się na zaufaniu.

Blaise nauczył się już słuchać jej wszystkich słów.

A Via często wspominała ich pierwszy pocałunek, którym Blaise stłumił jej strach podczas jednej z burz. Wtedy pierwszy raz pioruny i bijący o szyby okien deszcz nie wydawał się taki straszny.

Od tego wydarzenia minęło już trochę czasu, może trzy miesiące, a Via nadal wspominała i uznała, że był to moment, w którym Blaise po raz pierwszy skradł jej serce.

Bo skradał je codziennie na nowo. I wiedziała, że przepadła.

Via bowiem zakochała się w tym chłopaku od papierosów i kwiatka.

A ten chłopak zakochał się w Vii.

I gdy leżeli pewnej nocy w pokoju szatynki, obydwoje tańcząc we własnych myślach, wszystko było dobre.

— Blaise?

— Mhm? — mruknął trochę sennie, zaciskając swoje ramiona jeszcze ciaśniej wokół jej ciała.

— Myślisz, że księżyc nas obserwuje?

— Możliwe. Możliwe, że jest dla nas trochę jak rodzic. Widzi wszystko, jego pełnia może być karą, niektórych wtedy boli głowa lub nie mogą spać. Już sam nie wiem.

— Więc księżyc nas kocha? — zapytała.

— Chciałbym wiedzieć. Naprawdę chciałbym, Vi. — Dłonią pogładził jej włosy, gdy leżała wtulona w jego silne ciało i czuła się jak w najlepszym miejscu na ziemi. — Ale to chyba mało ważne — zaczął cicho — nieważne, czy kocha cię księżyc, czy gwiazda, czy nawet deszcz. Bo w tym wszystkim kocham cię ja, Via.

Kocham cię, kocham, kocham! — chciała krzyknąć Via, uśmiechając się szeroko i modląc, aby szczęście już nigdy nie uciekło.

Wtuliła się mocniej w jego ciało, szepcząc cicho:

— Ja ciebie też kocham, Blaise.

*

Rocznica!

Czas mijał. Przeszli razem kawał drogi. Każdej drogi. Tej łatwej i trudnej. Wiedzieli wszystko i czuli się dobrze.

Chyba wszystko...

Oczywiście, bywały momenty, gdy potrzebowali chwili. Momentu oddechu. Bo dobrze bywało bez siebie, jednak ze sobą wszystko było po prostu lepsze.

Jednak ten dzień musiał być inny, bo Via już zaraz planowała studia, a Blaise? Blaise poszedłby za nią wszędzie.

I to Blaise przygotowywał niespodziankę.

Dlatego byli umówieni na wieczór. Wieczór ciepły, wiosenny i zwyczajny, dlatego ich stroje też takie były. Blaise chciał, żeby to była rocznica, aby zachować coś z tamtego dnia, a jednocześnie otworzyć coś nowego.

Bo rok temu Blaise pierwszy raz otworzył drzwi sklepiku, a Via pierwszy raz sprzedawała mu papierosy i kwiatka.

Spotkali się na jednej z przecznic, gdy chłopak opierał się o ławkę, paląc papierosa i mając ze sobą coś jeszcze.

— Blaise!

— Via! — krzyknął w tym samym momencie co ona. Chłopak wyrzucił niedopałek, podchodząc do szatynki.

— Wyrzuciłeś niedopałek na świeżą trawę, Blaise. — Spojrzała na niego karcącym wzrokiem. — Co masz w dłoni?

— Nic.

— Blaise.

— Pamiętasz, kiedyś powiedziałaś: „Na takiego, który pali i wyrzuca niedopałki na świeży trawnik. Na takiego, który uśmiech jest tylko grzecznością. I na takiego, który nie potrafi mówić prawdy prosto w oczy”.

— Chcesz mi teraz udowodnić, że tak jest? Czy pokazać, że dokładnie pamiętasz moje słowa? — zapytała, łapiąc jego dłoń, gdy skierował ich w tylko sobie znanym kierunku.

— Nie. Chcę obalić twoją tezę. Pozwól mi, Via.

— Pozwalam ci na wszystko, Blaise!

— Więc zamknij oczy.

I szatynka ufała mu bardzo, więc zrobiła to od razu i zaufała, czując obok ciepło jego ciała.

Dotarli do właściwego miejsca, jednak Via nadal nie otwierała oczu, bo Blaise nic nie powiedział. Za to westchnął głęboko, jakby zbierając siły.

— Zawsze kupowałem w sklepie papierosy i kwiatka — zaczął, głaszcząc jej dłoń. — Zawsze to była biała róża, bo kiedyś pokochałem je ponad wszystko. Te białe róże, wiesz, Via?

— Mhm.

— Biały to symbol czystości. Czystość, spokój. To mi się z nimi kojarzyło. Nadal kojarzy. Wiem, że jestem tajemnicą. Wiem, że nie mówiłem o sobie dużo. I wiem też, że chciałaś wiedzieć wszystko, dlatego... Dlatego ci powiem, dlatego ci pokażę. Bo jesteś moim wszystkim.

— Blaise.

— Otwórz oczy, Via. Jest tu tyle do zobaczenia. — Zrobiła to, jej serce zatrzymało się, gdy tylko wzrok się wyostrzył.

— Co...

Przed nią bowiem znajdował się grób. Grób. Nagrobek. Kamień. Cały obsypany białymi różami. Same białe róże. Tylko białe róże. Wokół paczki czerwonych Marlboro. Pełno ich.

— Moja biała róża nazywała się Vella, dla ciebie mam czerwoną. Czerwony to symbol miłości, a ty nią jesteś, Via. Jesteś moją miłością, a Vella była tylko moją czystością. To coś więcej, kochanie.

— Vella, Vella, Vella — zaczęła powtarzać. — Co jej...

— Zabiłem ją. Zabiłem moją białą różę.

I wtedy Via pożałowała, że spotkała tego chłopaka od papierosów i kwiatka. Że mu je sprzedała i że otworzyła swoje serce. Że polubiła czerwone Marlboro i białe róże.

Bo Blaise był trujący. Tak samo jak dym jego ukochanych papierosów.

KONIEC